

JULIA ŚLIWOWSKA

SPIATKO

Gauka





FOT. KAROLINA ŁOPATA

Julia Śliwowska, urodzona w 1998 roku w Warszawie, mieszkała także w Krakowie, Budapeszcie i Braszowie. Ukończyła hungarystykę na UW i edytorstwo na UJ. Finalistka projektu Połów. Prozatorskie debiuty 2023. Absolwentka Kursu Pisania Powieści KMLU 2024/25 i warsztatów literackich Staromiejskiego Domu Kultury w Warszawie 2018/19. Lubi śnić, czarować i robić dobro. *Śpiątko* to jej debiut prozatorski.

Julia Śliwowska
Śpiątko

Lauka
2026

Książka objęta patronatem
Krakowa Miasta Literatury UNESCO

Copyright © Julia Śliwowska, 2026
Copyright © wydawnictwo JanKa, 2026

Wykorzystywanie całości lub części publikacji jako danych wejściowych lub korpusu treningowego w modelach generatywnych, które mogą tworzyć tekst, obrazy lub inną treść jest niedozwolone bez osobnej umowy z posiadaczami praw.

Wydanie I – cyfrowe
Pruszków 2026

ISBN 978-83-68015-08-9
[fragment]

Dla wszystkich, którzy chcą po prostu spać.

Faza

Nie ma lepszego haju niż ten, którego nie czujesz. Nie ma lepszego haju niż sen. Moim życiem zawładnęły tripy do świata marzeń sennych, miałam więcej przygód niż bohaterowie filmów akcji, więcej zwrotów akcji niż opery mydlane, więcej love interestów, niż mogłam sobie wyobrazić na jawie.

Spałam i śniłam, że śpię. Spałam w moim pokoju, na moim łóżku, na łóżku Normana, w jacuzzi, na gigantycznej truskawce, na miękkim brzuchu jaszczurki, na rzeczach, które nie wiedziałam, czym są.

Spałam na olbrzymim niebieskim m&msie i na malutkim ziarnku grochu. Spałam na płatkach wszystkich kwiatów, jakie znałam, i wszystkich roślin, jakich znać nie mogłam. Spałam w glebie, pod podłogą i na suficie, spałam w ścianie, w cemencie, spałam na samym środku betonozy warszawskiej. Roztapiałam się, gdy świeciło słońce i kołysałam się w kałużach, gdy padał deszcz, ochlapywałam przechodniów, przedostawałam się do ich butów, skarpetek, żył. Lądowałam na szybach kierowców, wpadałam im pod wycieraczki, wpadałam do ich odtwarzaczy muzyki i śpiewałam im kołysanki po przebudzeniu. Zasypialiśmy znów razem tuż przed gongiem z naprzeciwwka.

Spałam w szpitalu, chrapałam w kroplówkach, z krwią wylaływałam potem do kaczki. Spadałam przez rury kanalizacyjne,

obwężowały mnie szczury, zjadały mnie szczury, aż bolało tak, że musiałam się obudzić.

– Ocknij się, masz złego tripa. – Szczur nie przestawał mnie kąsać. – Nie możesz mieć złego tripa, nie po to to robisz. Budzę cię, kurwa.

Przed przebudzeniem na ułamek sekundy zobaczyłam jego oczy. Gardził mną, widać było, że nawet nie chciał mnie jeść.

– Nie wstaje od kilku dni – usłyszałam głos mamy.

Do pokoju wszedł ojciec.

– Strasznie źle się czuję – zamajaczyłam. – Muszę po prostu dużo spać.

Poczułam jego dłoń na moim czole. Była zimna i z początku przyjemna, zanim zaczęła się pocić. Próbowалам ją strącić, ale ojciec uparcie naciskał na moją głowę, coraz mocniej i mocniej. Szczurzy ogon leżał na dywanie, wystawał mu ze spodni.

– Ocknij się, masz złego tripa. – Ojciec wrywał mi włosy.

Miałam głównie dobre tripy. Najbardziej lubiłam to, że mogłam spać w każdym zakątku świata i nikogo to nie obchodziło. Zaprzyjaźniłam się z tajskimi bezdomnymi i kłóciłam z węgierskimi, bo podobno spaliłam im miejscówkę. Później leżałam pod Muzeum Narodowym sama i jak tylko czułam, że ktoś podchodzi, zerkałam na swoje palce, przeważnie było ich kilkadziesiąt, kilkanaście, czasem żadnego. Budziłam się w nowym miejscu. Jeden z bezdomnych zagadał, zanim zdążyłam się obudzić.

– Czekaj – wysyczał, zanim wyciągnęłam dłoń spod kołdry.

Zbyłam go ruchem głowy, nie otwierałam nawet oczu. Odejdź, przebrzydły szczurze. Przytuliłam mocniej misia, z którym spałam, będąc dziewczynką. Brązowy miś bez uszka, Miś Bezuszałek.

– Masz coś?

Spojrzałam na niego, był młody, przystojny, miał podkrążone oczy, za luźne spodnie. Padał śnieg, ale włosy na rękach nawet nie stały mu dęba.

– Chyba został mi jeszcze Zolpidem.

– Masz coś?

– Nie.

Wskoczył pod moją kołdrę, śmierdział. Mówił po węgiersku. Opowiadał o swoim samochodzie, jeździ najnowszą beemą, wyciera nos tylko chustkami Lui Vuitton. Smarować mi się chce.

– Masz imię?

– Nie. – On też nie miał. Pocałowałam go, bo nie wiedziałam, co innego zrobić. Po chwili zaczął dobierać mi się do majtek, a ja mu powiedziałam, że wygodniej byłoby w jego beemie, ale podobno skasowali mu zderzak. – Nie chce mi się już seksu, mam go tu pod dostatkiem.

– Fakt. A próbowałaś już latać? – Wyszliśmy spod mojej kołdry i pobiegliśmy do lasu miejskiego, on uruchomił balon widokowy, a ja zapytałam, czy umie to robić. – Nie – odpowiedział.

Po pięciu minutach byliśmy w górze, złapał mnie za rękę, spojrzałam mu w oczy, wcześniej czarne, teraz przeszywająco niebieskie, jak Normana.

– Nie rozmyślaj się teraz! – krzyknął, a ja ledwo go słyszałam przez wiatr i silnik. Chyba chciał skoczyć ze mną w uścisku, ale potknął się o jakiś kabel i tyle go widziałam. Zostałam sama.

Rozciąłam nożyczkami denerwującą kratę. Cisnęłam nożyczki na sam dół, widziałam, jak po chwili dotykają podłoga, roztrzaskują się. To mogą być ja.

– Nie wierzę, że jeszcze nie próbowałaś – powiedział ten ćpun od beemki. Miał jeszcze bardziej podkrążone oczy, niż jak go

ostatnio widziałam. Pewnie poszedł wziąć, znowu pytał mnie, czy coś mam.

– Nie chcę się obudzić.

– Mogę cię wypchnąć. Albo polecieć z tobą.

Wypchnęłam go z balonu i widziałam, jak upada tuż obok nożyczek, miał rozbity czaszkę, mózg rozjebany. Poszłam na drugą stronę balonu i patrzyłam na Budapeszt nocą, wszystkie miejsca były wyjątkowo blisko siebie, całe centrum zlało się w jedno. Parlament pożerał Dunaj i miał zaraz całować się z Basztą Rybacką. Spadnę na sam ich czubek, przeszkodzę im albo dołączę. Zerwę księżyc z nieba albo zawisnę na nim na zawsze. Wskoczę do jakiegoś samolotu, polecę, gdziekolwiek on leci, albo poszybuję szybciej, będę się z nim ścigać.

Słyszałam, jak ten chłopak krzyczy *hajrá* i działa mi na nerwy. Słyszałam, jak oddycha mi na szyję od tyłu i prowokuje do kolejnego morderstwa. Słyszałam jego małe ząbki, jak gryzie nimi swój głupi ser, jak klepie mnie w pupę i dopinguje do wyskoku. Krzyczy *hajrá, hajrá, hajrá*.

Hajrá.

Spadałam krótko, nie zdążyłam nawet mrugnąć.

Rozpłaszczyłabym się na betonie, tuż obok nożyczek i chłopaka od beemki, ale pamiętałam tylko spadanie, żadnego głupiego wiatru we włosach, tylko szum w uszach, w mózgu, ból głowy, nic więcej. Obudziłam się w łóżku i spojrzałam na zegarek, była trzynasta, powinnam być sama w domu.

Szok spowodowany próbą latania we śnie dał mi zastrzyk adrenaliny, rozbudził mnie na tyle, że byłam w stanie zejść na dół, do kuchni, faktycznie przyrządzić sobie coś do jedzenia. Bałam się sprawdzić, ile dni przeżyłam na chipsach i ciastkach, budząc się tylko po to, żeby się wysikać, wypróżnić i napełnić na nowo.

– Dziecko, ty żyjesz.

Mama wyglądała zza ściany.

Powiedziała, że przychodzili do mnie z tatą, że babcia przynosiła mi herbatę, że mierzyli mi temperaturę i uznali, że złapałam pewnie wirusa. Wiesz, ciągle panoszą się jakieś choróbka.

– Dobra, powiedz, ile mnie nie było.

– Dwa dni.

Odpowiedziałam jej, że w takim razie nie ma co rozpaczać i muszę iść to wydłużyć. Tłumaczyłam, że nie mam jeszcze studiów, nie mam właściwie nic do roboty i chcę to wszystko odespać, wyspać się za wsze czasy – o, tak jej mówiłam. Dziękowałam, że się martwi, powtarzałam, że nie ma czym.

– Norman tu był – wyrzuciła nagle.

Czułam się jak po wyjściu z najgorszego kaca, takiego, kiedy się rzyga po łyku wody, a potem odsypia i zamula przez kolejne trzy dni. No to pozostawał mi jeszcze jeden.

Ruszyłam do pokoju babci, był pusty. Wróciłam do siebie z trzema kolejnymi tabletkami, przekroiłam pierwszą na pół i popiłam wodą. Dostałam obuchem po głowie, ale to był obuch z tych przyjemnych. Niby wałnął, ale z miłości. Kręciły mi się serduszka zamiast aureoli. Nie wyłączyłam piątego odcinka, spałam. Budziłam się na łyk wody i od razu o tym zapomniałam, budziłam się na garść chipsów, które potem wysypywały się z buzi, nieprzełknięte. Budziłam się na chwilę, patrzyłam na godzinę w telefonie, załamywałam się sobą, chciałam już wstać, zasypiałam. W kółko. Woda magicznie pojawiała się w opróżnionej szklance.

Czasami nie śniło mi się nic, albo może po prostu nic nie pamiętałam. Po Zolpidemie może się tak zdarzyć. Może też się zdarzyć zupełnie odwrotnie i sny będą wyraziste. Na przykład to,

jak umierasz. I wtedy zajebicie nie chcesz już dalej spać, ale musisz, bo wzięłaś cholerną tabletkę i nawet jeśli obudzisz się przez szok, po chwili zaśniesz, zapomnisz, umrzesz po raz kolejny.

Były we mnie wbijane sztylety, były o mnie uderzane młoty, zakładane na mnie pętle, zaciskane dłonie. Były we mnie wstrzeliwane kule, były o mnie obijane pięści, były we mnie wkopywane nogi. Czasem nie widziałam mordercy, czasem mordercy nie było. Spadały na mnie meble z najwyższego piętra, ja też czasem spadałam z najwyższego piętra. Na najniższym piętrze potykałam się o porozrzucane klocki, wpadałam w dziecięce zasadzki. Gdzieś między piętrami ginęłam, przygnieciona przez windę.

Zdarzało się, że zabijała mnie mama, robił to też ojciec ze szczurzym ogonem. Lubili najpierw zobaczyć, jak cierpię. Szepotali mi do ucha, jak bardzo ich zawiodłam. Przywiązywali mnie do krzesła przy rodzinnym stole, ubierali w piżamki sprzed dwudziestu lat. Bili mnie pasem po dupie, przygniatali mi palce klapą pianina. Pytali, kim chcę być, jak dorosnę, i uśmiechali się szeroko, głaskali po czole. Karmili mnie, chcieli mi wmusić rybę, cukierki, chcieli napoić mnie winem.

We śnie przychodził do mnie Szary, jego twarz zaczynała się rozmazywać. Musiałam jej dotknąć, żeby sobie przypomnieć. Obmacywałam jego nos i wkładałam do niego palce, uśmiechałam się, wyczuwając lekkie złamanie. Nie pamiętam cię – mówiłam do niego, a on odpowiadał, że on mnie też nie.

We śnie nie było bólu. Po każdej śmierci budziłam się w swoim łóżku, wycierałam sobie pot z czoła, oddychałam z ulgą. We śnie nie było śmierci. Myślałam o tym, czy w śmierci jest sen.

We śnie przeszłość zlewa się ze wszystkimi innymi czasami, ze wszystkimi wymiarami, możliwymi czasoprzestrzeniami. Są takie czasoprzestrzenie, w których przychodzi do mnie Norman

i oskarża o zdradę, a potem wstydzi się tak bardzo, że nie umie nic powiedzieć, odchodzi, a ja uzależniam się od Zolpidemu i nie wychodzę z łóżka piąty dzień.

Są takie czasoprzestrzenie, w których przychodzi do mnie Norman i zabija mnie każdą z broni, którymi grał w każdej z gier. Najbardziej bym chciała ginąć od magii, ale on rzadko kiedy grał magiem, raz tylko kula ognia rozerwała mnie od środka. Zabijał mnie toporem, włócznią, giewią, berdyszem, kiścieniem i olbrzymim młotem. Zagłaskiwał mnie na śmierć, lubił też patrzeć, jak robią to rodzice. Stał wtedy z boku i się przyglądał, uśmiechał się delikatnie, po czym żegnał się, szedł do pracy sprzedawać kolejne mieszkania.

Kiedy akurat mnie nie zabijał, lubiłam patrzeć mu w oczy i przypominać sobie, że za nim tęsknię. Lubiłam chodzić z nim na imprezy i uprawiać seks, gdy za ścianą jego współlokatorzy gadali o zupkach chińskich. Lubiłam wdrapywać się z nim na chmury i obgadywać każde stworzenie, jakie widzieliśmy z góry, każde, jakie stworzyliśmy. Tańczyłam z nim do muzyki kosmosu i grałam w planszówki, jakich jeszcze nie wymyślono.

Często była z nami Karolina, przychodziła i wtrącała się w rozmowę albo kołysała mnie do snu w tańcu. Obserwowałam, jak się całują, a ona masuje go po plecach tak, jak kiedyś mnie. Przez cały czas patrzyła mi w oczy. Nalewała mi herbaty do filiżanki, a jej czajnik się roztopiał, bo był cały z plastiku, jej ciasteczka też były całe z plastiku i łamały się na nich zęby. Czasem Karolina po prostu siedziała w kącie albo stała obok nas i nic nie mówiła. A ja nie czułam się przy niej niekomfortowo i mogłam brylować, i wokół było mnóstwo osób, ale to ja byłam duszą towarzystwa i wszyscy chcieli spędzać czas ze mną, a ona najbardziej. Sny o Karolinie były chyba najsmutniejsze.

Były też sny o lodowcach i planecie w ogóle. W nich już mnie praktycznie nie było, nic już nie mogłam zrobić, patrzyłam tylko, jak one się topią, jak ich łzy spadają w nicość i mogłam próbować je łapać i z nich pić, ale mnie tam nie było. Widziałam, jak pustynie się kurczą, i mogłam próbować łapać każde z ziarenek i budować z nich piaskownicę, ale mnie tam nie było. I widziałam, jak niszczej ą lasy, jak giną gatunki zwierząt, i mogłam próbować, nawet jak najmocniej chciałam, żeby przylecieć z całą apteczką, ambulansem, całym szpitalem i załogą, żeby je uratować, ale to i tak nic nie dawało, bo mnie tam nie było.

Gdy byłam, wrzucałam słomki do oceanu, żeby wpadały żółwiom do nosów. Kupowałam siatki w sklepie, chociaż nie miałam żadnych innych produktów w koszyku. Brałam po trzy, wychodziłam, wyrzucałam je, i wracałam po więcej. Chodziłam do Chińczyków, wybierałam dania z samego mięsa, wybierałam nieobrobione mięso, nieobrobione martwe zwierzęce zwłoki i prosiłam, żeby zapakować je w plastikowe pudełko i włożyć do plastikowej siatki. Gdy nie dostawałam siatki, wracałam do restauracji i krzyczałam po polsku, że czemu inni dostają, a ja nie. W ramach rekompensaty dawali mi trzy siatki i w końcu byłam usatysfakcjonowana. Wyciągałam pudełko, wyjmowałam plastikowe sztucce, kroiłam mięso, i budziłam się, bo nawet we śnie nie mogłabym go przełknąć.

W dobrych snach żyłam sama w chatce na końcu wszechświata, wokół mnie rosła trawa i mnóstwo drzew, i tęskniłam za ludźmi. Chodziłam po farmie i sadziłam nowe warzywa, a one od razu rosły, były gotowe w sekundę i jadłam je wszystkie, brudziłam podbródek sokiem z pomidora i barwiłam sobie kąciki ust marchewką, i nigdy nie było mi dość. Śpiewałam z ptakami, biegałam z wilkami, bawiłam się z dinozaurami i miałam mnóstwo

przyjaciół, dzieliliśmy się jedzeniem i śmiechem, umieliśmy żyć w zgodzie ze sobą, a kiedy potrzebowałam drugiego człowieka, kładłam się spać i śniłam, o kim chciałam. Tworzyłam sobie ludzi jak w Simsach, moja podświadomość grała w grę sama ze sobą. Zawsze im współczułam, a oni nigdy mi nie zazdrościli, bo stworzyłam senny świat bez zazdrości, jedynie z miłością, wyrozumiałością i otwartością. Uprawiałam z nimi miłość i budziłam się od orgazmów, wychodziłam z łóżka, żeby uprawiać pole, wyprawiać imprezy z innymi zwierzętami, prawić dusery matce naturze.

Od razu po wzięciu Zolpixa było największe odjechanie, wtedy czułam się jak w *Ricku i Mortim*, biegałam po symulacjach, przez portale przechodziłam do innych wymiarów, potrafiłam być robotem albo robakiem, albo robakiem robotem i nic nie było mi straszne. Umiałam czarować, rzucałam zaklęcia, walczyłam różdżką i wskrzeszałam zmarłych. Odprawiałam z nimi rytuały i w końcu mogłam porozmawiać z dziadkiem, do którego mówiłam na cmentarzu przez ostatnie dwanaście lat.

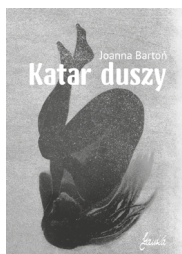
Poza tym śnili mi się chyba wszyscy ludzie, których znałam, i wszyscy, których widziałam chociaż raz w życiu. Śnił mi się Japończyk z imprezy, śniła mi się koleżanka z gimnazjum, której imienia nie pamiętam. Śnił mi się brat Normana i rodzeństwo moich rodziców. Wszystkie moje kuzynki, facet, który rok temu przywiózł nam pizzę, moja nauczycielka od matmy. Śniła mi się ekspedientka w sklepie, która zapytała mnie, czy bluzka przypadkiem nie będzie na mnie za mała, gdy miałam czternaście lat. Śnił mi się nasz listonosz, od którego raz odbierałam list w piżamie i patrzył mi się na wystające sutki. Śniła mi się każda z koleżanek, które mnie zostawiły, i każdy z kolegów, który mnie odtrącił. Śnił mi się chłopiec, który w pierwszej klasie pokazał

mi siusiaka pod stolikiem w stołówce, śniła mi się truskawkowa zupa z kluskami, którą po tym zjadłam. Śniła mi się stara sąsiadka, która rozplątywała mnie ze światełek na choinkę, kiedy przez przypadek się w nie zaplątałam, rozbierając nasze drzewko po świętach. Głupie dziecko, mówiła, nawet nie potrafisz się porządnie zaplątać.

Umiałam zaplątać się w czasoprzestrzeń i umiałam od razu sama się z niej rozplątać, bo we śnie potrafiłam rozwiązać wszystkie zagadki i poradzić sobie z każdą trudnością. We śnie byłam mądra, mądrzejsza niż stara sąsiadka, mądrzejsza nawet niż sama zawsze marzyłam, bo we śnie wiedziałam na przykład, jak stworzyć kompensator mocy biernej, kiedy na jawie nie wiedziałam nawet, co to w ogóle jest.

Spałam tak, budziłam się i spałam dalej. Czułam, że mogę tak w nieskończoność, czułam, że chcę tak w nieskończoność. I tylko materac uparcie nie chciał mi się przyśnić.

Gdy udało mi się wstać z łóżka, podchodziłam do okna, sprawdzałam, czy dalej tam jest, a potem kładłam się na białym prześcieradle, wycierałam oczy, ścisnęłam kolejne tabletki pod kołdrą. Jeśli mi ich zabraknie, po prostu pójdę do babci po nowe. Kto w mojej sytuacji chciałby się budzić? Po co w ogóle miałam się budzić, kiedy sny były takie realne?



Joanna Bartoń

KATAR DUSZY

Cena okładowa 42 zł

Premiera: wrzesień 2024

Miłość i pożądanie, wiara i grzech, więzy rodzinne i przyjaźń to główni bohaterowie tej niedużej powieści o sprawach

największych, najważniejszych, czwartej powieści Joanny Bartoń wydanej w naszym wydawnictwie.

Bo czy tytułowa dusza w ogóle istnieje? Zdaniem wielu – nie. A jeśli przyjąć, że tak, to czy może mieć katar?

Tytuł *Katar duszy* brzmi intrygująco, ryzykownie, trochę niedorzecznie, ale o tym właśnie jest ta powieść – o niedorzeczności ludzkich potyczek z losem. O duszy, która „się przeziębia”, która łapie wirusa smutku i zła. I trochę też o tym, jak pisanie, czytanie i wyobraźnia potrafią modelować życie.



Urszula Stokłosa

NIEBOŻĘTA

Cena okładowa 37 zł

Premiera: maj 2023

Powieść napisana z maestrią i subtelnością, z pietyzmem traktująca ludzkie ciemne emocje, traumy, kompleksy, lęki; ale i marzenia-nadzieje.

Z nutą liryzmu – o bardzo nielirycznym świecie. To widać już w tytule, bo „niebożę” – jak podaje Słownik Języka Polskiego – to przestarzałe określenie, współczujące i zabarwione litością, istoty młodej. Inaczej: „biedactwo”. Dziś może użylibyśmy negatywnego lub wręcz prześmiewczego określenia: loser, cielę, ofiara losu, smutas, przegryw? Dlaczego z bohaterami tak jest, jak jest, wyjaśnia się w trakcie tej subtelnej opowieści. Dlaczego tak trudno im kochać, przyjaźnić się, mieć poczucie szczęścia w życiu?

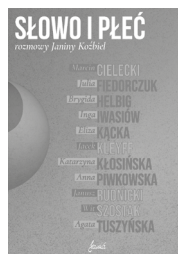
To druga powieść Urszuli Stokłosa wydana w naszym wydawnictwie, autorka debiutowała *Cichoborkiem*.

SŁOWO I PŁEĆ

Rozmowy Janiny Koźbiel

Cena okładowa 44 zł

Premiera: październik 2022



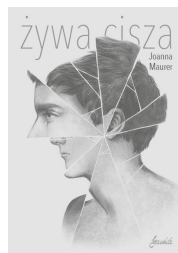
Rozmowy z Marcinem Cieleckim, Julią Fiedorczuk, Brygidą Helbig, Iną Iwasiów, Elizą Kącką, Jackiem Kleyffem, Katarzyną Kłosińską, Anną Piwkowską, Januszem Rudnickim, Witem Szostakiem i Agatą Tuszyńską. Wywiady były przygotowywane w cieniu politycznych i społecznych wydarzeń, do których są odniesienia, a żaden z nich nie miał swego pierwodruku w prasie. Prezentowane w zbiorze treści nie ograniczają się jednak do kwestii czysto publicystycznych. Dają bogaty przegląd strategii twórczych, wnioskują w warsztat literacki, dotyczą filozofii życia, tożsamości i zakorzenienia człowieka, relacji między płciami, konfliktów rodzinnych i społecznych. To już trzeci tom rozmów z pisarzami Janiny Koźbiel (poprzednie *Słowa i światy* i *Słowo i sens*) cieszyły się również dużym uznaniem.

Joanna Maurer

ŻYWA CISZA

Cena okładowa 47 zł

Premiera: listopad 2024



Drogi trojga bohaterów przecinają się dwukrotnie: w młodości przeżywanej w latach 60. XX wieku i współcześnie w Domu Spokojnej Starości. Drugie spotkanie bohaterów staje się momentem rozliczenia z przeszłością, ale i próbą odzyskania głosu w narracji własnego życia. Autorka, opowiadając trzy osobne historie, bada granice między indywidualnym losem a wielką Historią. Ukazuje wpływ decyzji innych ludzi, wydarzeń politycznych, a czasem przypadku na los jednostki. Odważnie stawia pytania o tożsamość Środkowoeuropejczyków i ich miejsce w świecie.

Maksymilian Odrzywołek, recenzując powieść w „Nowych Książkach”, pisze, że „*Żywa cisza* to nie tylko literacko i antropologicznie przekonująca powieść, ale także głos nowoczesny i głęboko humanistyczny”.

Okładka:
Joanna Walczykowska

Zdjęcie autorki:
Karolina Łopata

Redakcja i korekta:
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:
MJK

ISBN 978-83-68015-08-9
[fragment]

Druk i oprawa:
BOOKPRESS.EU
ul. Lubelska 37C
10-408 Olsztyn

Wydawnictwo JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
694 536 051
wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl
www.jankawydawnictwo.pl

Jestem śniącą kobietą. Nie ma dla mnie bardziej fascynującej i jednocześnie podstawowej czynności niż sen. Ale jaki człowiek naprawdę śpi? Kto może pozwolić sobie na drzemkę w środku tygodnia, kto nie zostanie nazwany leniwym, bo w weekend śpi do południa? Co dzieje się z człowiekiem, który śpi przez kilka dni - czy wciąż jeszcze istnieje? W dobie nagradzania ciągłej produktywności sen traktowany jest jako obowiązek, element higieny albo luksus. A moim zdaniem jest to przede wszystkim wyraz wolności.

Julia Maria Śliwowska

Śpiątko jest zapisem metaforycznej podróży, która odsłania świat bezimiennej dwudziestolatki, może everymanki pokolenia Z. Po obronie licencjatu bohaterka mieszka z rodzicami, nie ma pracy, nie może zasnąć. Zakupiony przez internet materac na kółkach pozwala jej poruszać się nie tylko w przestrzeni, ale i między tęsknotą za minionym a lękiem przed przyszłością, między buntem przeciwko systemowi a uległością wobec rodziców, między ambicją, żeby zrobić wszystko, i rzeczywistością, w której nie robi nic. To zatracą siebie, to – chwilami – siebie odnajduje. Najintensywniejszą i najbardziej obiecującą próbę stanowi dla niej sen, ale i ją chce przeprowadzić na własnych zasadach, samotnie, w ukryciu, bez wystawiania się na ocenę innych, na którą narażona jest, czy tego chce, czy nie, każda kobieta, każdy człowiek. Realizm i absurd, feminizm i weganizm, obserwacje przyrody i ludzi, antropomorfizowanie zwierząt stają się formami buntu i szukania więzi jednocześnie. Niezgodą na (nie)porządek rządzący światem i iluzje religii.

Śliwowska gra i ryzykuje na kilku poziomach. Po pierwsze języka – sprawdza jego możliwości w rejestrach rozciągających się od realistycznych opisów po oniryczne, surrealistyczne ujęcia. Po drugie, sięgając po temat i prowadząc fabułę, w której autorka wychyla się wyobraźnią literacką daleko poza bezpieczne ramy powieści o millenialsach w kryzysach psychicznych. Umożliwia jej to charakterystyczny sposób narracji oraz wejście w głębie postaci.

Anna Cieplak

Apeiron



bookiecik



KRAKÓW
MIASTO LITERATURY
UNESCO



SZTUKATER.PL

ISBN 978-83-68015-08-9



9 788368 015089